



JAN MIĘSIŃSKI

OBŁĘDNE „JA”

1911

ZŁOŻENIE

OBŁĘDNE „JA”

332983

JAN MIERNOWSKI

OBŁĘDNE „JA”
CZYLI
CZŁOWIEK

POEMAT NOWELISTYCZNY

WARSZAWA — 1930
NAKŁADEM KSIĘGARNI F. HOESICKA

JAN MIŁOŻYŃSKI

OBIECANE JA

Odbito czcionkami
Drukarni Krajowej
w Warszawie
Chłodna 44
1929



332983

WARSZAWA - 1929
KAROLIN WILKOWSKI & SPOŁACZNIKI

V.2271/61

TWÓRCOM

I.

MOJA PANI.

Szedłem, do ciebie, dziewczyno.

Niosłem ci moje, serce. W pięknej szkatule je niosłem. Niosłem środkiem ulicy, jak hostję świętą, do góry wzniesione, śpiewając radosny hymn:

— Oto nastał dla mnie dzień miłości!

Stawali ludzie. Gapili się na mnie, jak na warjata. A ja? Nie! Stanowczo! Nie mogło mié wówczas obchodzić gromadne gapiostwo ludzi, ni śmiech głupiej gawiedzi, ni ciskanie cuchnących przewisk w moją stronę. Daleki byłem od t e r a z. J u t r o gonilem myślą i o niem śpiewałem mój hymn radosny.

Słońce już bliżej stoczyło się ziemi i, jak homar rozpelzły, dotykało dachów, i, jak proporzec wichrem wojennym szarpany, darło się w kawały wielce krwią naciekle, i, jak oko ol-

brzyma chorością zapalne, co po spiekocie
diennej powieki przymyka, tak na kominy
kładło się bezsilne, senne, pracą sterane —
słońce!

Szedłem, do ciebie, dziewczyno...

Lecz oto nagle —

słońce, niby toporem cięte, rozpękło się na
dwoje a z jego wnętrza wyszła jakaś postać.
Po stopniach zachodzących promieni zrazu szła
zwolna, nieśmiało jakby, potem szybkość
zdwoiła, potem biec zaczęła, zdążając ku ziemi.

Nie patrzyłem w jej stronę, uwięziony własną
myślą, śpiewałem hymn radosny:

— Oto nastał dla mnie dzień miłości!

Tymczasem postać wciąż zdąża ku ziemi. Dot-
knęła jej, a teraz idzie ulicami naprzeciw mnie.

Zagrodziła sobą drogę.

Jak dojść do celu? — pytam. Kto śmiał sta-
nąć na drodze mego szczęścia? — i z gniewem
wielkim podnoszę źrenice...

Jezu!

Przede mną tkwią w betonie dwie olbrzymie
nogi, gołe nogi, chude i żyłaste; mięśnie ze sta-
li, powiązane w słupy, pną się po nich, niby
rusztowanie ku górze, wdzierają się na uda, go-
łe uda; mijają je i łukiem tryumfu i rozkoszy
kreślą linje bioder, brzemiennych zmysłami,
linje, których nie znała boska Afrodyta, całują

gołe piękne biodra; gotykami strzelają wwyż
i rozetami piersi dziewiczych, jędrnych rozkwit-
tają, piersi gotyckich — a potem, krzyżem rąk
rozdarte, w biceps stalowy się kładą i w sprac-
owanych dłoniach mrą. A ponad spadziste ra-
miona wznosi się szyja, biała, giętka, okryta
falą lśniących włosów, w pozłocie których wid-
nieje twarz!...

— Boże!

I z tym okrzykiem, rażony więcej, niż piękn-
ością wzroku, złamany więcej niżli ust czerwie-
nią, padłem na chodnik; z drżących dłoni wy-
puściłem piękną szkatułę, że potoczyła się po
bruku, rozprysła na kawałki i uwolniła (o! u-
wolniła) zamknięte w niej — serce.

Uliczni przechodnie brudnymi podeszwami
zmiażdżyli je, rozmemłali w pyłe miejskim i łaj-
nie, maczali stopy — chcąc nie chcąc — we
krwi mego serca i krwią znaczyli swoje drogi po
odległych ulicach, miedzach i ścieżynach.

Tak dałem moje serce ludziom.

Sam zaś — w kornym bezruchu, głuchy na
przezwiseka, nieczuły na razy — leżałem nadal
na twardych kamieniach, pytając myślą:

— Kim jesteś?

Aż przy płynęła do mnie z pod chmur me-
lodja jej głosu:

— Jestem Ideą. Nazywam się — Twoja Pani.

A kiedy pytać chciałem jeszcze, nie mogłem znaleźć słów.

Powlokłem się więc za Moją Panią w pełną rozgwaru miejskiego noc poprzez wszystkie udreki i bóle, zaparcie się ludzkiego szczęścia i żal, poprzez łzy i zachwyty, uśmiechy i słońca, jak pielgrzym i niewolnik nędzny, któremu ludzie wzięli nawet serce!

Powlokłem się za Moją Panią w pełną rozgwaru miejskiego noc, ufny że ustami dotknę jej ust kiedyś i, ludząc się nadzieją, zaśpiewałem:

— Oto nastał dla mnie Nowy Dzień Miłości!

II.

FORTEPIAN.

Otworzono fortepian... Wyjęto struny. Ktoś usiadł i naciskał białe i czarne klawisze moich nerwów. Niemy instrument walił drewnianymi młotkami w mózg.

Stuk, stuk — stukaly młotki,
stuk, stuk — jęczał mózg.

Ciemno. Wielka latarnia wdziera się z ulicy przez okno i śmieje się w politurze fortepianu. Długie, długie włosy grajka zasłaniają twarz i ręce. Spadły na białą klawiaturę i, szarpane przez rozpędzone palce, umierają... Biedne włosy: w służbie zropiałych rąk syfilytyka mrą. Głuche pudło, nieme młotki stały się mu orkiestrą wyśnioną; stukot drewna o drewno był więcej, niż melodją. Beznosna twarz, wyzarte oczodoły czytały partyturę...

Ktoś wszedł do czaszki i ryczał, ryczał zano-

sząc się od śmiechu, że przecież uderza jeden klawisz... jeden klawisz..., że nie umie grać wspólnie! Niema: lokomotyw, drutów, tramwajów, maszyn, niema w tej muzyce „złoty wymiotów“ i „metalowej czkawki“... — Tytuł? Gdzie tytuł? — ryczał przybysz, tańcząc tango. — „Pacyfik 231“, „418 Napoleon I“ — abstrakcje mózgowe.

A muzyk kulił się, wyjmował gnat po gnacie z krzyża, że był jak kukła bezkostna, wypchana flakami.

Wiedział. Doszedł do tego sam. Ale oto tancerz mówi... mówi zupełnie rzeczowo: idea — nie — poronienie... Już! Już! Bo twarz syfilytyka buchnie krwią! Żyły wypełzły nawierzch i, jak glizdy, suną po zropiałych członkach.

Stać! Stać!

Będzie katastrofa!

Tancerz i on — człowiek bez kości... Wstał, ale runął.

Przecież wyrzucił kręgosłup! Gdzie jego kości? Rozkudłaną głową zmiata pył z podłogi, tłucze nią jak wiechciem, chce podnieść, ale nie działają mięśnie. Dotąd, rozpięte na gnatach, mogły się dowoli kurczyć lub rozprężyć, mogły, co najważniejsze, żyć!

żyć!!

Za wszelką cenę — żyć! Bez nosa, ale żyć! Bez kości, ale żyć!

A przybysz ryczał, ryczał i tańczył po gumowym tułowiu.

— Tytuł? Gdzie tytuł? „418 Napoleon I“...

— Słowa?

— Słowa! Byle te słowa miały: turbiny, osie, pęd, liczniki, zwrotnice.

Coraz rozpaczliwiej bił głową. Już pokazała się krew. A on długimi, długimi włosami, niby wielkim pendzlem, macza w niej i krew wdycha. Echo rezonansem wpelzło pod wieko rozwartego fortepianu i skulone przedrzeźnia. Poruszyły się drewniane młotki i poczęły same uderzać w ten jeden, jedyny, a nieszczęsny klawisz.

Muzyk szalał. Czuł, jak go ta parszywa idea przeżera, jak toczy mu wnętrze, niby świder.

Dźwignął się resztką woli. Wstał. Otworzył okno. Po świetle latarni wylazł na ulicę i począł iść po piorunochronach, chorągwiach, drutach, reklamach, po kominach fabrycznych w kierunku dworca.

Szyny i szyny...

Poprzecinane, związane, splecione jak miłość, rozdarte na zwrotnicach jak przeszłość z przyszłością, zagubione w dali, chaotyczne tysiącem światel, pelzły przed nim, uginając się pod mocą pędu współczesnych lokomotyw i wa-

gonów, które poruszały się bez celu, a jednak z tak wielkiem uświadomieniem celu, że każda nuta i gwint musiały razem współdziałać.

Stał na zielonym sygnale i patrzył...

Patrzył na żywe kratery lokomotyw, na kręgosłupy żelaznych wagonów, wchłaniał w siebie ich puls, chrapliwy oddech znękanego robotnika - maszyny, układał z syku wypuszczonej pary, z kłębow dymu swój wielki: Pacyfik Znak Zapytania — i czuł, że kocha te olbrzymy.

Drętwiał na myśl rozkoszy, jakaby mu zadała rozpalona zmysłami lokomotywa. Czuł rozkosz wpijania się zgnilemi ustami w koła i osie stalowe, czuł, że...

Stuk. Świstek. Trąbka. Tragarze. Walizy. Okrzyki. Płacz. Zatrząskiwanie drzwi. Kroki. Przyspieszony oddech dwóch lokomotyw. Woale dymu. Chrząst buforów...

Położył się na szynach w oczekiwaniu wielkiej rozkoszy...

Jedzie! Jedzie!

Puf — puf — puf — puf —

Rozdyma powietrzem płuca przed rozkoszą, jaka ich czeka.

Jedzie! Jedzie!

Blżej... coraz blżej...

Puf — puf — puf — puf —

III.

POGRZEB.

A stukot granego klawisza: zabijał moją ludzką miłość.

Cał po calu grażyło się w niej ostrze, a krew ściekała na jej tępy wzrok, na rozchełstaną jej koszulę, na jej krzyk: chcę żyć!

Zamordowałem moją ludzką miłość i do trumny złożyłem drewnianej, kwiat nawet by romantycznej, wetknąwszy w skrzyżowane ręce.

„Zdrowaś Maryjo“ — mówiłem, gwóźdź po gwóźdź w sosnowe deski wbijając, „laski pełna“ — bo poza sobą teraz widzę: wiejski dworek, biały, cichy, malwami umajony z przodu, nagietkami złożony u dołu; przed nim w siewnie wapna owocowe stoją drzewa, a jako że jest wiosna... przychodzi Moja Pani i powiada na ucho: sen! Budzę się wówczas.

Co to? Gdzie jestem? Ja i trup? — w jednej



chwili przypominam sobie wszystko. Tak, tak...
Już jest noc.

Biorę trumnę na plecy i ukradkiem wychodzę na ulice. Są puste. Miasto śpi.

Idę środkiem jezdni. Dźwigam trumnę. Uginam się pod jej ciężarem. Na mój wygięty w pałąk grzbiet jak gdyby życie się zważyło. Co za trud? Co za trud? Raz — dwa, raz — dwa wybijam nogami miarowy takt, mijając ulicę za ulicą, dom za domem, latarnię za latarnią uspiętego miasta; raz — dwa, raz — dwa nadąża echo.

A idąc tak i krok jak pług wbijając w ziemię — znalazłem się za miastem.

U moich zmęczonych nóg kładły się pola pełne niewidocznych ścieżyn i miedz, złane w fantastyczny kontur płaszczyzn. Nade mną uśmiechnięty foryś nocy przekrzywił papierową twarz.

Miedza — pole, pole — miedza: aż znalazłem się w lesie.

Przerażająca cisza. Tylko trzask łamanych gałęzi, tylko chrupot suchych liści, tylko pnie przyczajone, jakby gotowe do skoku, tylko sęki, niby knykie kostuchy, pelgające w moją stronę.

Isć? wracać? Coraz większy i większy strach. Zaczynam biec. Im prędzej uciekam, tem prę-

dziej goni. Panika. Zaczepiam teraz o gałęzie i sęki. Drę ubranie i kaleczę twarz, potykam się o wystające korzenie, zataczam pod ciężarem roztańczonej na grzbiecie trumny, upadam, zrywam się, biegnę, słyszę straszliwy stukot trupa...

I nie wiem, doprawdy już nie wiem: czy to trup bije tak sobą o deski, czy moje serce, czy też krew tak tętni; nie wiem, czy nie ja jestem owym trupem i czy sam siebie na plecach nie dźwigam? Bo czuję, wciąż czuję wyraźniej, jak gdybym został deskami objęty i jakbym nie ja szedł, ale trumna. Coraz mi ciemniej. Sztywnięję. Brak mi sił... brak tchu...

Kiedym się ocknął, leżałem na skraju lasu. Opodał rosły dwie grusze.

Pozostał mi ostatni czyn: zakopać.

Zakopałem.

Jakaż to niebywała radość(?): zakopać. Co za uciecha usiąść na świeżo zdrapanej ziemi pod dwiema gruszami i rzec: wolnym jest, i śmiać się, i śpiewać: jestem wolny!

A potem krzyknąć:

Bywajcie ptaki niebieskoskrzydłe! Bywajcie do mnie, tu! Od dziś idę z wami w zawody!

O, jakaż to niebywała rozkosz: pić wolność!

IV.

PIJAŃSTWO.

Moi panowie!

Jest mi ogromnie szeroko!

Leżę na brzuchu, rękoma obejmuję globus ziemski. Głowę złożyłem na biegunie północnym, zaś nogami wierzgam w Atlantyku.

Radośnie mi jest!

Upilem się na grobie ludzkiej miłości, a teraz pluję na Wenus i o słońce zapalam papierośka!

Bania wtoczyła się do środka i gulgocze bełkotem i chichocze we mnie, ze mnie, przy mnie!

Nic nie czuję...

Siedzę w kawiarni i patrzę na nogi:

wygięte, mięśniami łydki ruchliwe, suche, bufiaste, ażurowe, pończochami kolorowane, nogawkami okryte, obłożone: w lakier, zamsz i skórę, galopują wokół mnie nogi na posadzce

dancingu. Śpiewają one, kłócą się, kopią, na palcach stają i obcas zbity pokazują, potem przychodzą inne, potem jeszcze inne i jeszcze inne, a potem znowu te same i inne... Biegają po stolikach i ścianach, po suficie skaczą, zawadzają o lampy, i wtedy ogarnia mnie ciemność, wbijają rytm w moją głowę i obcasem francuskim sondują moje myśli...

Lecz ja, moi panowie, nie mam myśli... Wogóle nie wiem: czy jestem sobą?... Bo, jak wychodzę z kawiarni, to idą za mną domy i ulice, skaczą czteropiętrowe mury i zmieniają się w dryndę, chodniki turlają się po niebie jakóbową drabiną, a potem, potem — przepaść...

Zresztą nie istnieje „przedtem“ i „potem“! Wszystko widzę jednocześnie i we wszystkim się orjentuję...

Tak więc latarnie koziołkują po jezdni i pałką policjanta zatrzymują auta, zaś policjanci, skurczeni w swoich kaskach ogromnie błyszczących, szczerkają, ciągną czerwone tramwaje i merdają ogonem... Przechodnie obijają się o gumowe domy i ćwiczą na drutach.

Całe miasto jest okrętem... Ja jestem na nim kapitanem; trzymam tubę i krzyczę: zwiąć żagle! do pomp, panie hrabio! idzie burza!

Nic nie słyszą.

Sam więc pnę się po maszcie. Nagle wiatr!

Bęc! Jestem w morzu... Leżę i płynę. Okręt buja się. Koło mnie moc trupich twarzy. Trzęsienie ziemi. Wałają się domy i ulice. Słońce kręci się, jak karuzela. Otwieram paszczę czaszki i zamykam w niej miasto...

Strach co się dzieje!

W mojej czaszce moc wielkich kamienic, ulic, po których chodzą ludzie, syczą syreny aut, dzwonią tramwaje, turkoczą dryndy, ujadają psy, chłopcy wykrzykują nazwy dzienników...

Zaczynam tonąć...

Ratunku!!!

Morze dymi balwanami. Ni stąd, ni zowąd zjawia się aeroplan. Włazimy na śmigę. Na śmidze znajduje się dancing i moc nóg: wygiętych, mięśniami łydki ruchliwych, bufiastych, obłożonych lakierem, zamszem i skórą.

Śmiga kręci się, a z nią kręcą się nogi, stoły, dźwięki, kręcą się konie i przechodnie... Okrywa nas brezentowe płótno, z którego chcemy wyleźć.

Śmiga kręci się.

— Do pomp, panie hrabio! Idzie burza!...

Jest mi ogromnie szeroko i jedwabście!

Wogóle nie wiem, czy jestem sobą...

V.

CHAOS.

Ale nim zdążyłem wytrzeźwieć, wżarły mi się słuchawki radjo w mózg i jakaś wiecznie trwająca muzyka ozwała się w głowie, że teraz płacze temat z tematem, myśl z myślą i, niby wielki kocioł — fabryczna kadź, przetapia wszystko w dźwięk.

Chwilami myślę, że chyba to świat śpiewa, a ja słucham jego melodji, albo, że włos każdy na mej rozśpiewanej głowie mówi dźwiękiem.

O, włosy! Włosy moje! Gdybyście wiedziały, jak przeraźliwie huczy nagłośnik, jak rwie melodję w strzępy, jak płaczą wiolonczele, jak cicho stąpa Moja Pani i jak boleśnie potrąca o fałdy mózgu? — O włosy! Żywe — martwe włosy!

Żeby przynajmniej chodziła jedna Moja Pani. Gdzietam! Takich pań jest niezliczone

mnóstwo, niezliczone mnóstwo rozbieganych dzieci i panów opasłych, a wszyscy potykają się o nierówności mózgu i kopią boleśnie dźwiękiem.

Patrzą się ludzie na mnie, lecz mnie nie widzą. Bo często, kiedy z nimi gadam, w połowie zdania urwę, oczy w słup stawię, krwią się obleję, a potem na oślep gnam do siebie — do siebie — kochani ludzie! Bo widzicie. W takich chwilach dźwięki zmieniają się w oszalałe byki, które z metalicznym łoskotem tratuja komórki mózgu i tak gnają, tak gnają, że co prędzej zamieniam się w cowboy'ów, wskakuję na rozbzykane pędem grzbiety i, dalejże jazda!

Doprawdy jednak nie wiem, czy to byki, czy też nuty szaleją, bo widzą mi się klucze muzyczne, ósemki, ćwiartki, pięciolinje, które, owinąwszy się wkoło mnie, duszą jak węże...

A radio huczy w mózgu, podaje długość fali i wyje... Płacze się temat z tematem, nuta z nutą, melodia z melodią...

I nawet w nocy moja biedna, rozśpiewana głowa nie ma spokoju. Zaledwie bowiem legnę, a już mi się widzi, że jestem w galerji obrazów. Zupełnie ciemno. A jednak widzę ciężkie, złoczone ramy i wielkie płótna. Spojrzę — aż tu zaczyna każdy obraz żyć, wychodzą z martwych płócien popiersia kobiece i portrety, wazony,

jabłką, kwiaty, zachody i wschody słońca, różne pejzaże, skraj lasu i grusze dwie, rycerze, konie, sanie, oberże, apoteozy, żydzi, dzieci, szlachta, greczynki, wojny, rzeźby z wylupionymi oczami, bez nóg lub bez rąk, torsy gladiatorów, — wszystko to wlecze się za mną, zastygłe w ruchu, skostniałe, a jednak żywe.

Za mną i na przeciw mnie ze wszystkich sal wychodzą niezmiennie w pozie dziwadła, skamieniałe w skoku konie, miażdżące olejnym kopytem, pastelą źrenic i muskulem akwarel.

Padam bezradny; wokół mnie stoi cizba. Śpiewają:

Śpiewa napoleońskiego mundur oficera, ranny ułan, sztylet mordercy, rozpacz króla, trójka koni, chorągwie, jedwabie, piersi... i dwie grusze śpiewają i nogi bufiaste ażurowe, i dancing, i zakopana trumna śpiewa, bo po głowie chodzi wiecznie trwająca muzyka, co płacze temat z tematem, myśl z myślą i, niby wielki kocioł, fabryczna kadź, przetapia wszystko w dźwięk.

VI.

S A B A T.

I urządziły sabat.

Weszły te dusze na Łysą - Górę w księżycową noc, na nagie, oślizgłe światłem zbocza i zakrzypiały coś, co trudno nazwać pieśnią.

I urządziły sabat.

Uwiły wieńce z moich nerwów, wsadziły je na głowy, wplątały w mokre włosy — i krostopate dusze, spróchniałe czasem, jęły tańczyć...

Coraz któraś przystanie, obejrzy się poza siebie hen, poprzez wieki, odżywa w nich, płodnie je dawną krasą — i tańczy...

Potem przypada głodnym pyskiem do oślizgłej światłem ziemi i żre ją, polyka, pazurami drapie, jakby się chciała dogrzebać pierwotnego „ja“, tego swojego, tego co zostaje zagadką nas samych.

Pokładły się więc dusze na pokrzywną ziemię i jęły zjadać wilgne grudy: że ożył w nich dawny byt, że ożyła tajemnica istnień, w ziemnej grudzie zawarta. Żuły bezzębną szczęką: zbrodnie i świętość, tryumfy i zwątpienia, śmiech i łzy, krew i plwociny, grzech i cud, całą klawiaturę ludzką, śmietnik ludzkich „ja“.

Pęczniały dusze od tej strawy, zaokrąglały się kształty, aż Łysa - Góra zaroila się etapami ducha i chichotała tupotem roztańczonych nóg, nóg obutych w sandały, ciżmy, stalowe pończochy rycerzy, w chłopskie trypcie z lyka, ascetyczne chodaki.

Bo w tę noc księżycową mój duch szukał siebie...

Roztysięczył się na dusze, badał je, zaczarował w igrach i razem z nimi, wzięwszy się za ręce, tańczył... Tańczył mnich obok trubadura, rycerz obok lokaja, chłop obok pijanego szlachcica, asceta obok — wisielcy. Dusza cynika dzierżyła w swej dłoni dłoń średniowiecznego misterjum, dłoń obwiesia — skromność obyczajną...

I tak w wielkim chaosie rozigranych istnień, patrzyłem w oczy, jak na coś swojego.

Wreszcie nie stało sił; runąłem sobą sam nie wiem gdzie i poco, i odtąd czulem rytmiczne

szturhańce, jak puls krwi w moich żyłach, a to deptały moje ciało roztańczone nogi, obute: w ciżmy, stalowe pończochy, trypcie, chodaki i sandały. Rycerskie ostrogi orały w niem głębokie bruzdy, krwią napelniając, tą krwią, którą pieściły safianowe podeszwy sandałów.

Zniecierpliwilem się. Wstałem. Potężnym wstrząsem zrzuciłem z siebie koszmary sabatu i zgarnąłem razem w wór.

Mijały wieki, a ja szedłem.

Stanąłem wreszcie. Cisnąłem wór na oświetloną elektrycznie salę pomiędzy fraki XX — wieku. Jazz - band grał właśnie poloneza, a my, jak w wielkiej maskaradzie, wśród fajerwerku łun, huku szrapneli i granatów, wśród kulemiotowych gam, płaczu matek, okrzyków: vive l'empereur, szliśmy z inwalidami w zielonych mundurach, kapiących krwią, w wielki korowód poloneza. Czemu poloneza? Przecież wiek XX?

Więc szliśmy długim poloneza korowodem, wśród dział skowytu, fajerwerku łun, skomleń niewieścich, z okrzykiem vive l'empereur, znacząc drogę gzygzakiem inwalidzkiej krwi.

Wyszedłem na ulicę. Patrzyli ludzie na tę maskaradę jednej duszy tępyim wzrokiem. Śmiałem się do rozpuku. Bo jakże? Krzyknąłem: vi-

ve l'empereur, a ludzie w oknach, ludzie z ulic okrzyk podjęli i krzyczą, że aż im żyły na wierzch pełzną. Śmiałem się. — Bo jakże? Zachłyskiwać się okrzykiem na cześć...? Ha! ha! ha!

Zapał rósł. Zaczęto rzucać kwiaty na mój polonezowy korowód i śpiewać „Święty Boże, Święcny, Mocny“... jakgdyby się popili! Odbijał się ten ryk o chodniki, wypełniał sobą bramy i rósł...

Rzucano kwiaty — a ja się śmiałem!...

I szliśmy w kwieciu przez ulice, zatrzymując samochody i tramwaje.

Szliśmy do katedry.

Nalozylem na się kapłańskie suknie. Rozpocząłem nabożeństwo. Na chórze organista grał: Jeszcze Polska, ja śpiewałem: Te Deum laudamus, a ulice: Święty Boże, Święty, Mocny, Mocny a Nieśmiertelny.

Wszedłem na kazalnicę. Rozejrzałem się po tłumie; tłum wciąż jeszcze tańczył poloneza. Rozgniewałem się. W wielkim gniewie plunąłem na zbitą masę głów.

Nagle zaniósłem się od śmiechu. Poznałem bowiem w tłumie uczestników sabatu.

— Boże, — krzyknąłem — więc to wszystko ludzie, którzy się nazywają — moje „ja“?

I znów mię złość wzięła na tę mnogość maskaradowych dusz i znów plunąłem w tłum...

Lecz tym razem tłum się zakołysał, zawył i rzucił na mnie; ściągnęli z ambony, poczęli bić, szarpać; rzucono w siebie kościelnymi ławami, zrywano kandelabry. Poszarpany, skrważony tłum walał się zbitą kupą po posadzce kościoła i wyl...

Dzwony zaczęły bić coraz głośniej i głośniej, oszalałe w miarowym kolysie, zawadzały o ściany świątynne i kolumny, że powstał rumor, że dom Boży drżał od takiej pieśni, że pieśń wpadła w organowe rury i organy wzbogaciły ją wszystkimi rejestry, że pieśń przeniknęła ściany i okrwawione cielska maskaradowych dusz, że jedynym motywem tej pieśni było — moje „ja“!...

VII.

KOŚCIANA PAŁECZKA.

Muszę odejść. No, tak! Bo cisza nęci, bo znudziły mnie oślepiające reflektory samochodów, błotne chodniki, turkot kół, kłapanie kopyt, wycie syren, bo w ciągłym pośpiechu, mimo jasno oświetlonych ulic, nie mogę znaleźć siebie... I wtedy staję na rogu, chcąc krzyknąć: duszo, duszo moja(!), ale podchodzi prostytutka i wabi..., więc wlokę się dalej, mijam wystawione: buty, kołnierzyki, rowery, czekoladki, kina, idę z zadartą głową, ale wita mnie dancing ze splecionymi ciałami, zawracam, ale czyż mogę znaleźć siebie? Dusza moja, jako rzekłem, jest wciąż stacją odbiorczą, gdzie miljon nagłośników radjo, z tysiąca miast jednocześnie wypływa krańcowo różne, harkotliwe melodie, gdzie P. A. T. z całego świata nadsyła: depesze, artykuły, kronikę bieżącą, wypadki...

Stanowczo nie mogę znaleźć i nie znalazłem siebie. Bo chociaż sabat odsłonił na chwilę tajemnicę, to dziś znów nic nie wiem... A zresztą, cóż mnie trzyma? Co zostawiam? Przecież nie może tu chodzić o zdarte skóvky, brudne gacie, przepocone skarpetki, polatane portki? Idea? Czyny? Śmieszna historia! Obejrzałem się dziś poza siebie i zobaczyłem nawet mniej niż wczoraj.

Przypuścimy jednak, że odszedłem... Opuzczam w dzień zaduszny pokój trumny pusty wewnątrz, na dnie którego leżą dwie spinki i trochę guzików. Jestem szczęśliwy. Nie doznaję potrzeby snu, ni jedzenia, nie potrzebuję myśleć o zarobku! Jestem nareszcie panem czasu!

Dzień zaduszny jest dniem, kiedy schodzimy na ziemię, czyniąc na niej, co się nam żywnie podoba. Możemy być: kotem, stołem, śmieciem, drutem telefonicznym, czy też tramwajowym, słowem — wszystkim.

Wywołany na seansie spirytystycznym, udzielał prasiu kilku tych otó uwag, celem opowiedzenia żywym mojej historii dnia zadusznego.

Przyszedł mi do głowy pomysł ożywienia zwykłej pałeczki dyrygenta. Spocząłem więc wygodnie na drewnianym pulpicie, wodząc ciekawym wzrokiem po półmroczej sali, po fote-

lach skórą krytych, po ścianach niemi pajęczyny pozszywanych, i czekałem...

Pozapalano światła; zrazu oszczędnie, potem pyszałkowato chichotały żyrandole. Na sali zaczęły się pojawiać: jedna dwie, osiem, dwanaście, trzydzieści, sto i coraz więcej głów: łysych, siwych, szpakowatych, czarnych, jasnych, ondulowanych; coraz więcej koków, zawitych fryzur, a szły te głowy bezustanku, kręcąc się w różne strony, to znów pochylając ku ziemi, Zaroilo się i na estradzie; moc jednakowych fraków kucało za pulpitemi, strojąc instrumenty, szykując nuty, że wypełniła się sala stękotem dźwięków i kwint skrzypcowych, jakgdyby chaosem myśli o różnej skali i rejestrze.

Poczułem moc.

Świadomość, że wszystkie: fraki, głowy, lampy, fotele, że to wszystko czeka na mnie, na mnie mizerną kościaną pałeczkę — dodało mi chamstwa i brutalnej siły.

Wszedł dyrygent. Gwar przeszedł w szmer, szmer przeszedł w oczekiwanie. Wstrzymany dech... Dyrygent wziął mnie do ręki, wznosił w górę... wlepiony wzrok... setki ócz spoczęło na mnie... uderzył mną o pulpitem raz, drugi, znów podniósł w górę, machnął... i poszła muzyka...

Przelatując w powietrzu szalone przestrzenie, kreśląc magiczne gzygzaki, straciłem gło-

wę i, oszołomiony: rykiem, brzękiem, hukiem, dudnieniem, zapomniałem o sobie...

Dobrze mi było.

Kościąca paleczka szeptała dynamiczne zaklęcia mego ducha, zaś ten wpadał z wiru w wir, z pędu w pęd. Lecz tempa zmieniały się jak w kalejdoskopie. Presto przeszło w vivo, vivo ustąpiło miejsca allegro, allegro - andante, andante roztopiło się w tkliwym: piu lento-cantabile.

Miałem czas na zorjentowanie się w sytuacji. Zmysły doprowadziłem do porządku i, zlekka bujając się w powietrzu, zacząłem knuć spisek.

Wciąż piu lento-cantabile i wciąż piu lento-cantabile i wciąż piu lento-cantabile...

Zebrałem się w sobie. Bęc! I wyskoczywszy z łapy dyrygenta, zawisnąłem na jeden błysk w powietrzu, a nim się ktokolwiek zorjentował, już rysowałem zawrotne linje, pociągając za sobą fraki. Nie było czasu.

Objąłem dyktaturę tempa, a szły za niem instrumenty: ze szlochaniem, skargą, gniewem, piorunami, jękiem, bo tak kazało tempo, tempo, które przerasta moc płuc i rąk, bo tego wymaga moja dusza —kościąca paleczka, bo jej bunt grają: puzony, trąby, tuby, bębny, kontrabasy, bo jej śmiech dało piccolo, lże — smyczki, karnawał — tamburina, melodję —

klarnety, bo jej mszę spełniają roztańczone organy...

Ha! ha! ha!... Cała dusza w tej muzyce strasznych dysonansów, cały chaos — w chaosie, męka — w męce!

Gram siebie!!!

I cóż mnie mogło wtedy obchodzić znikanie głów z widowni? tupotne wychodzenie? trzask drzwi? gaszenie lamp? krzyki protestu i oburzenia? skoro zamagnetyzowałem fraki, pulpity, instrumenty, ba, samego dyrygenta, skoro widziałem, że w pustej, ciemnej sali, na galerji, siedzi biała, pomarszczona staruszka — moja matka, jedyny słuchacz dzikiej muzyki syna?!

Krwawią się ręce od smyków, płuca od dęcia, po frakach i białych gorsach cieknie krew... A przecież tempo nie ustaje, puls nadal bije!

Ciemno — a przecież muzyka gra...

Straszno — a przecież muzyka gra i gra...

VIII.

MISTERJUM ŚREDNIOWIECZNE:

ŚW. JAN CHRZCICIEL.

W cztery szkielety końskie bogato sprzęgane, toczyły się karoce.

Znakomite w nich goście: wykwintni panowie i damy nadobne. Balowo przystrojeni: jedwabie, gorsy, pióra, koronki.

Pędzą po miejskim bruku. Noc bryzga z pod kopyt. Latarnie z podziwu pogasły. Dziwaczni woźnice na kozłach wysokich, w sute płaszcze otuleni, okładają batem rozwierzgane szkielety końskie i ohej, krzyczą z pustych żeber, z których czas zdjął dwa woreczki płuc.

Ohej! Ohej!

Turkoczą karoce, walą się szyby z ram okiennych i z brzękiem padają na chodniki.

Ohej! Ohej!

Resorem wyrzucani w górę, dygocą w poja-

zdach wykwintni panowie i damy nadobne, i jedwabie, i gorsy, i pióra, i koronki.

Białe szkielety końskie galopują, a z niemi galopuje po murze kamienic fantastycznie wielki, przelamany cień konia.

Ohej! Ohej!

Zwężają się ulice. Maleją domy. Wąskimi frontami gryzą niebo. Ciasnota. Szybkie zdzieranie lejc. Staromiejska dzielnica. Rynek. Coś, kiedyś widziane. Po czterech rogach zapalone drwa. Ogień. Girlandy. Trybuny i ławy karmazynem kryte. Pośrodku scena.

Zaroilo się od przybyłych gości. Świecą oni w przyległych, ciemnych zaułkach, niby świętojańskie robaczki, miast głów bowiem mają zapalone latarki; różnokolorowe lampiony. Zielone, żółte, czerwone i niebieskie kręcą się punkty. Panowie trzymają ręce na pękach gęsich piór, niby główkach karabel; nadobne damy na gołych piersiach.

Muzyka wita przybyłych.

Taneczne dźwięki, w gnomy i elfy zmienione, płasają radośnie między gośćmi i ciągną na rynek, gdzie cztery słupy dREW się palą.

Do tańca! Do tańca! Mości Panowie!

Biorą się za ręce smukłe litery, trzcionki, barczyste artykuły, zbijają się w wielką ciżbę, jak trzoda przed burzą. Splotły się maski ramiona-

mi, przylgnęły ciałami do ciała, a teraz płyną pchane, dyszące, ośleple, oplwane rykiem jazz-bandu, kapiące rozpuszczonym pudrem i szminką na gołe piersi i ramiona.

Tu usta w uśmiechu zakrzeple, błędzą wśród włosów tancerki, tu cztery stopy chwytają rytm i rytmem depczą kotyljonowe kwiaty...

Mości Panowie! Bal!

Migają gołe szyje, ramiona gołe, gołe biusta, czerwienią płonących kłód całowane, różne muzyka, coraz nowe figury, każdy przechodzi sam siebie; śmieje się Kłam i Ambicja, śmieje się Zazdrość i Paszkwil, potężna Reklama, śmieje się Jazz-band, śmieje się karmazyn, śmieją się matki, ciotki, ojce — dzienniki rozparte na trybunach, zachłyskujące się czkawką szampana, śmieje się wszystko: nawet woźnice, nawet szkielety końskie, nawet szprychy kół, nawet bruk!

— a gdzieś po kątach Żałość wyje!

Pada confetti, serpentiny bluszczu wiją się po parach, wiążą, zszywają, kapie puder i karmin, śmigają gołe piersi i szydzą z nocy...

Śmiech! Śmiech — Mości Panowie!

— a Ból gdzieś chodzi krokami wielkimi!...

Noc. Ciemne ulice. Tylko rynek oświetlony słupami ognia, tylko rynek migoce świetlnymi punktami głów, tylko rynek puchnie harkotem jazz-bandu, tylko rynek się śmieje!

Bal! Mości Panowie!

Śmiech chlusta o mury, o szyby wali, po rynsztokach się tarza!

Otwiera się gdzieś okno i ukazuje się w niem postać św. Jana Chrzciciela. W skóry odziany. Pierwotny człowiek. Patrzy św. Jan na tę mnogość przewalających się głów, na poplątane ciała, ociekające potem, na gnomy i chochły, na rynek pełen tylego śmiechu, tylej płaszaniny i rzeczy przez zaciśnięte zęby przed siebie — wdół:

— !!!

Leci to słowo, niby meteor, wdół na bruk, potężnieje echem, że wypadają instrumenty z rąk, że rozplatają się ramiona tancerzy, że w oburzeniu kierują głowy gniew oczu ku górze, tam — tam gdzie w oknie, w blasku pożarnych kłód, stoi człowiek — misterjum — święty Jan, w skóry odziany — ja!

2.

Skończony bal! Przemawiać teraz będzie Cham.

Czy widzicie Państwo?

Stanął na wzniesieniu wśród girland, w panoramie staromiejskich domostw, a za nim skrzydlatych aniołów chór.

Czy widzicie? Liże go blask pożarnych kłód.
Włosy jego płoną. Niedźwiedzie skóry płoną.
Schylona twarz płonie. Płonie ręka o kostur
wsparta.

Azaliż w nim samym jest ogień?...

Słuchajcie!

W prostactwie swym niepokonany, poczyna
mówić św. Jan. Wyrzuca słowo po słowie twarde
i gromowe, a każde jako pocisk między wa-
mi pada i rżnie jucha naodlew — w sam pysk!

Święty Janie! Uwaga!

Dąsa się Reklama i Paszkwil zżyma. Na ła-
wach szmer. Na trybunach chłód.

Walał młoty słów, siniaczą sumienia i ciągiem
lecał gromowe a twarde.

Podbiega doń Satyr, u nóg siada i poczyna
dąć w fujarę, by Prawdę zagłuszyć. Na ławach
i trybunach śmiech.

Święty Jan precz gada.

Zagniewany Satyr wycina mu policzek. Try-
buny w ryk. Ławy w ryk. Konie i woźnice w ryk.
Śmieją się: hehehe!

Jan Chrzciciel gada swoje...

Ktoś krzyknął: precz! inny: milczeć! inny
wyrwał z niewieścich pleców kręgosłup, w łuk
wygiął i puścił w stronę mowcy gęsie pióro,
niby strzałę. Utkwiła w łydce. W ślad poszli
inni. Wylamując kręgosłup za kręgosłupem

z niewieścich pleców, puszczały chybkie, świ-
szczące strzały, kalecząc mowcę.

Jan Chrzciciel nie zważa i prawi dalej. Moc-
niej jeno wsparł się na kosturze. Pięć, dzie-
więć, sto, trzysta strzał tkwi już w jego ciele
i wysącza strumyki krwi...

Śmieje się Reklama, śmieją się wykwin-
tani panowie, nadobne kręgosłupów pozbawione da-
my, śmieją się: jedwabie, koronki, pióra, woź-
nice, białe szkielety końskie, karoce, staro-
miejskie domy, fauny, hurysy, gnomy...

Święty Jan, w kałuży krwi stojąc, na ko-
sturze obwisł — i cicho, bardzo cicho rzekł:

— Kocham Was ludzie, bez nazw i naro-
dów ...

3.

Ile gwiazd na niebie, ile pór w ciele człowie-
ka, tyle zeń było strumyków krwi...

To już nie człowiek, moi państwo, ale wielka
fontanna krwi, co gejzerem w górę strzela!

Stoję na wzniesieniu tak wysokim, ja —
człowiek misterjum, że z tej oto wyżyny (i ni-
ziny zarazem) zdolen jestem objąć świat cały
i świata lud cały. Pozornie! To już jest olbrzy-
mia skala, kamienny złom, po zboczach któ-
rego płyną strumyki krwi.

A tam w dole?

Tam w dole stoi tłum gapiów, a z głów ich idzie czarny dym.

Święty Jan, niby Mojżesz, uderzył trzykroć kosturą o skałę i wydobył ze złomów tajemnicę ognia. Ogień rozdarł się na miliony promieni, promień na krocie smug, tych smug, co razem ze słowem Jana lecąc wdół, wrywały gapiom żebra. A teraz, niby skrzela ryb lub paszcze wielorybów, szczyrzą się żebra, wyprute z ciał, rozpekłe, zionące pustką ludzkich wnętrz.

Snać czekał na tę chwilę człowiek - gejzer, człowiek - moczarnik, zatrząsł bowiem kroplistym bukietem krwi i jął oddzielać pasmo od pasemka, włókno od włókna, kroplę od kropli...

O, jakże czekali ludzie na tę chwilę.

Każdy z nich podchodził bliżej skały i paszczą żeber chwycił krwisty deszcz Jana.

To był Chrzest...

Wydarł im grzech pierworodny, otworzył puste łona, a wzamian rzucał im skarb krwi.

Ach, zwykła transfuzja! Tylko, że więcej pacjentów, tylko, że jeden otrzyma dużo, drugi mniej, inni wcale! Tylko, że tłumy wołają: daj nam krwi!!

A Jan Chrzyciel hojnie obdarza, choć czuje, czuje, że już niedługo krwi nie stanie.

Coraz się słania na oślizgłym wirchu, coraz

obwisa na wiernym kosturze i coraz rzuca chyba ostatnią w swej szczodrości kroplę wdół...

Tłum wyje: daj nam krwi!

Gejzer maleje! Niebo zachodzi chmurami. Chmury uderzają o siebie i niebo grzmi. Serpenty błyskawic szyją strop.

Nad głową Jana zażarty bój. Huczą armaty, turkoczą jaszczce, trzask oręża, fanfary...

Jan widzi jeno: słońce, księżyc, gwiazdy rozbiegane, roztańczone, jakieś zegary przeolbrzymie, u których kręci się blat, zaś wskazówki stoją martwe, i słyszy jeszcze wycie tłumu:

Krwi! Daj nam krwi!!!

Jeszcze chce wypluć resztkę, gdy nagle —
Ciemń.

Grzmot. Huk. Jęk. Pęd. Świst. Ryk. Lęk...

Nic!

Cisza...

IX.

WINDY.

Nie stało krwi.

I oto znowu, w ciasnej, ciałniutkiej stoję klatce, między okropne tłoki wind wtłoczony. Dwie windy: jedna nad głową, druga pod nogami. Zaczyna się koncert. Rozciąga się wielka harmonja, której spojeniem — jestem ja.

Guzik. Naciśnięcie. Po drutach skaczą dwie windy: jedna pędzi w górę, druga w dół. Jednocześnie, o zupełnie jednocześnie dwa drutobiegi pędzą.

Traaach! Uderzenie. Ból! Elektryczne lampy. Ciemń. Nagle rozprężenie. Potem nowy skurcz, nowe rozprężenie i nowy skurcz, i nowe uderzenie, i nowy ból, i elektryczne lampy, i ciemń, i nowe rozprężenie... i nowy skurcz.

Dwa migające w pędzie pudła wind, to rozlatują się w przeciwne strony, to znów trą-

cają o siebie, miażdżą mnie dotkliwie. O, tak! kompletnie miażdżą, bo wszak między niemi wiszę. Ale, że jestem człowiekiem „cywilizacji“, więc mam gumowy tulów i nic mi się de facto nie dzieje. Bo chociaż w danym momencie jestem rozplaszczony, niby sprasowana blacha, to jednak — z chwilą odskoczenia pudeł — natychmiast się rozprężam; powracam do zwykłej figury. Właściwość tę zawdzięczam „cywilizacji“.

Cywilizacja? Społeczność? Gdziebym nie widział tego jarmarku, gdziebym nie czytał ulotek rzucanych po świetle?

Zdaje mi się niekiedy, że ja sam stałem się już „społecznością“! Taki nieraz w sobie czuję monopol, taki hurt, taką produkcję „en gros“.

Cha! Cha! Cha!... Czy widzieliście podobny okaz?

Wisi między dwoma drutobiegami, z których jeden wali go ustawicznie w łeb, drugi nogi w brzuch wtłacza, a on jeszcze myśli?! Cieniutka blaszka (psiakrew) a jeszcze myśli! —

Oh, wszystko tylko o myśli!

Nadomiar złego, włości się za mną, jak cień i ani chwili nie odstąpi. Kto? Cywilizacja — społeczność, albo ja wiem? Nazywajcie sobie, jak chcecie.

Wymyślałem na nie od szczeniąt i..., a one

swoje. Zakrywam dłońmi oczy, lecz i to nie pomaga.

Wciąż — tak, bezustanku widzę straszną gębę, w której kręca się karuzela oczy, w której nie ciało, lecz: kółka, kółeczka, tryby, osie, śruby, sprężyny, guziki, kontakty, druty, windy, w ciągłym ruchu poruszają skomplikowany mechanizm.

Tak! Wszędzie „cywilizacja“. Dotyka wszystkich moich członków, przepala nawet moje wnętrze, a jednak, jednak Moja Pani znalazła coś, co pozwala oderwać się, uciec, uciec od wind, uciec od maszyn i domów publicznych, uciec od siebie i swego aktorstwa, od fałszowanej ohydnie polskości.

Moje „ja“, to małe nutka, małe nutki wózek, który toczy się a toczy.

Przy dyszlu milion koni kopytem orze gwiazdy. Siedzą na nich okrakiem furje i rudym włosem, niby pochodnią świecą drogę.

Twarzą przywarły do końskich grzyw i razem z nimi szarżują nieskończoność. Zaś w samym wózku, raczej muszli, stoi potężny słup fluidu... W wiolinu znak zaklęty, stoi fluid... Zapatrzył się w noc, i sobą, niby smykem, po rudych kłakach furyj sunie i gra...

Oj! gra ci on jakoś dziwnie, niby wichru jęk, niby kopyt chrzęst o gwiazdy, niby moje „ja“...

X.

A K T O R.

Do wczoraj byłem aktorem.

Mówiłem kłamstwo i wierzyliście w nie; dziś prawdę rzekę i tą fałszem nazwiecie.

Już mnie nie nęci wasza pruderja, inaczej savoir-vivre! karjera nie szczerzy do mnie pozłacanej gęby. Daleki jestem od was, będąc zato bliskim sercom waszym. I choćbyście mieli precz odgonić, jak psa wygnać, nie będę smutny. O, bo wszak kiedyś powrócę do was moi mili, lecz doskonalszy powrotem!

A serce moje jak mak na nieba łące kwitnąć będzie.

Do wczoraj byłem aktorem.

Codziennie chodziłem do teatru; ubrany w pompatyczne szmaty, szwędałem się po scenie, grając rolę sędziego; grałem ją wyśmienicie. Któż nie potrafiłby jej zagrać?

Słowa, jak pieniądz fałszywy, rzucałem widzom, a oni?... Kunsztowne to były słowa; „lykliwe“, „ociosane“. O, jakże różne od słów chrzciciela. To też lzy wyciskały widzom. Najlichszy stwór, zblakany na scenie, nie uszedł memu oku; póty karmiłem go lukrowanym piolunem słów, póki nie uwierzył w swoją sytość. Póki całej Polski wraz z jej stanami, partjami i partyjkami nie zozydilem.

A było to tak:

W bieluchnej szacie inkwizytora, bogato złotem tkanej, z wielkim krzyżem na piersiach, wśród niebieskawo oświetlonej sali, wobec tysiężnych widzów, wobec aktorskich stanów, partyj i partyjek: krzyżowałem „Polskę“. Z jej rozprutego włócznią boku ściekała krew na biskupie suknie i wiary insygnja. A wtenczas, jak-gdyby nic, wygłaszałem pogrzebową orację, zapowiadając rychłe narodziny „dziewiczej“ Polski, poczem sadowilem się pod krzyżem i grałem z szują w kości.

Po widowni szedł głuchy płacz, serca waliły oburzeniem, lecz ani stany nie śmiały tknąć biskupiej głowy, ani partje, ani partyjki, bo dobrze wiedziały, że gdy lud polski zabija zdracę — kościół czyni go świętym!

Na niebieskawo oświetlonej scenie, stał krzyż, a u jego stóp siedział biskup, zbryzgany krwią,

i, rzucając kości, śpiewał: „Glorja, Glorja in excelsis Deo“.

Widownia, stany, partje i partyjki... jeden szloch!

Dziś jednak oszalałem.

Oszalał, moi państwo, biskup!

Patrzcie. Nie zasiada dzisiaj na biskupim tronie pod karmazynem baldachimu, łamie pastorał, infułę rzuca i nogami depce, a teraz zbliża się ku gromadzie oskarżonych, posiniaczonych, głodnych biedaków.

— Bracia moi — tako im rzecze, i włazi między zbitą masę: morderców, złodziei, pijaków, prostytutek, ściska ich i całuje, bierze za rękę, ciągnie pod samą rampę, tam siada z niemi społem, i:

— Bracia moi — tako im rzecze, choć patrzają nań przerażeni. Tak nie bywało; reżyser uczył inaczej, sufler wylazł nawpół z budy i nie wie, co czynić; inspicjent gryzie z rozpacz palce; robotnicy, nad sceną przy światłach zajęci, gapią się i szturchają.

Widownia nic nie rozumie.

Tymczasem biskup prawi o sobie. Mówi: mordcom, złodziejom, prostytutkom, że jest im równy, równy? — nie! stokroć podlejszy, bo krył zło do dziś głęboko w czaszce.

Ileż to razy zabijam kogoś myślą? Nawet

ojca! Ileż to razy okradam ludzi? Nawet bli-
skich! Ileż to razy myślą cudzołożę? Nawet...!
O, Bracia Moi! Do dziś byłem wrogiem Chry-
stusa! Jam sędzią był, gdy On był Miłością! Ko-
chajmy się, Bracia, i weselmy, bo oto przejrza-
łem, bo oto nastąpił dla mnie Nowy Dzień Mi-
łości. Cieszymy się! Albowiem wiele w nas jest
z Boga!!

To mówiąc, w krąg ustawił, rękoma powiązał
i jął hasać.

Przeszkadza mu sutanna. Drze więc w kawaly
drogocenny jedwab i nawpół goły z wielkim
krzyżem na piersiach skacze. Bawia się zbrod-
niarze, prostytutki, na scenę wchodzi „Polska“,
a za nią stany, partje i partyjki, robi się coraz
ciemniej, organy gdzieś grają i biją dzwony.

Biskup oszalał. Na widok: wchodzącej „Pol-
ski“, chorągwi, amarantu, pasów litych, karabel,
siermięg i pancerzy, na widok: białych orłów,
stanów, partyj i partyjek — przerywa igry. Ota-
czają go zwartym kołem: króle polscy, kancle-
rze, wojewodowie, chłopskie sukmany, skrzydla-
te husarze... Czuć trupem! kochanym swojskim
trupkiem! Przeszłość, terażniejszość i przyszłość
w murach teatru! Cha! Cha!

Biskup oszalał. Jak Judasz, skulił się w so-
bie, — zerwał z szyi kościelny znak, na dukato-
wym (niby!) łańcuchu zawieszony, poskoczył do

miejsca tortur, owinął dokoła szyi złoty łań-
cuch, i zawisł na krzyżu.

Dość blagi!

Jedno jest pewne: powiesił się Judasz.

Na widowni szmer, wrzask, gwizd, oklamano
ich od początku do końca.

Krzyk: Przyszliśmy patrzeć na ukrzyżowanie
Polski, nie na śmierć biskupa! Chcemy ukrzyżo-
wania Polski!

Krzyk: precz!

Krzyk: kurtyna!

Rumor, wrzask. Gwizd...

Na scenie płacze ładna aktoreczka — „Pol-
ska“; oglupiałe stoją: stany, partje i partyjki;
kroplisty pot splukuje im z twarzy szminkę.

Tymczasem, zawieszony na krzyżu, kona bi-
skup.

Organy gdzieś dudnią jeszcze.

Wśród wrzawy wielkiej i protestów — umie-
rał we mnie aktor...

XI.

ŻOŁNIERZ.

Pękają wokół mnie szrapnele; granaty u nóg kopią głębne leje; karabinowe kule kłują na wylot żołnierski szynel — a żołnierz stoi.

Bacność, żołnierzu!

Biedaczysko kiwa się na poranionych nogach i poranioną pierś wystawia na rozbzykane kule. Poly siwego płaszcza furkają, niby proporzec, nad małą piędzią szarej ziemi i, niby ręce przydrożnego krzyża, miłośnie zgarniają siejbę kul. To już nie aktor!

Karabin twardo trzyma w dłoni i, jako wróbli strach, na ziemi styrczy, oganiając się przed nachalstwem much. Z wszystkich stron wałą. Coraz któryś pocisk ziemią sypnie w oczy i skona, coraz przy uchu gwizdnie lub w ciele ostatnie, coraz się skłębli i skłuje na wylot żołnierski szynel.

Bacność, żołnierzu!

Wrywa oczy z orbit i śle je w ciemną noc, by ujrzyć wroga. Nie widzi. Przyklada więc karabin do brudnej, skrwawionej gęby i wali, wali naoslep w ciemną noc do tych kanaliż węg godzących, do tych psich synów, co jego ziemię naszli. Lecz jak się ostać, kiej oto maciejówkę szarą zestrzelili ze łba, kiej szrapnel wypruł bebeczy z kałduna i zwiesił, niby wstęgi orderów krwawiące, kiej nogę do cna mu scharatał, że stać już musi na jednym kulasie.

Hej! Wżył się on w ten skraw ziemi, więc, choć i drugi kulasz scharatany leży, krwawiącym zadkiem przylgnął tera do ziemicy, splunął w garść, naładował i psiach-mać dalej wali!

Nie boi się śmierci, bo wie, że on, to ludzi dwóch: jeden tu, drugi tam. Zginie, a jednak nie zginie!

Tymczasem kule głębsze czynią wyrwy, większe ochłapy mięsa wrywają z ciała a bzykają i skrzeczą bez przerwy.

Bacność, żołnierzu!

W otwarte pyski dołów, jakgdyby głodne od kul, co je wyżarły, jał sypać proch i proch ziemią grzebać. Następnie powiązał doły sznurem, niby ślubną stulą, z porwanych szczątków swego ciała stos ułożył, i czeka...

A kiedy ujrzał wyciągnięte do się palce, po-

dobne szponom sępa, kiedy ogłuchł od huku bliskich dział: zapalił włosy i dotknął niemi stosu.

Już nic nie widać. Olbrzymi słup ognia przesłonił żołnierza, a teraz przegryza ziemię, szukając lontu. Cofnęły się ręce, umilkły na chwilę działa, tracąc cel.

Ze środka płonącego stosu leci śpiew:

„Jeszcze nie zginęła“...

W tymże momencie zbudzony lont rzuca iskrę w dół prochem nabite.

Zatrząsł się świat. Wrogowie ze strachu stężeli.

Stoją oto nad przepaścią wielkiego dołu.

A przecież ten dół — to też Polska!!...

XII.

B Ó G.

Z szybkością miljona kilometrów na sekundę śmigam obok ogrodów, osad średniowiecznych, twierdz i katedr, ale niczego nie mogę zapamiętać. Drogi, drzewa i domy, cały świat tak warjacko naprzeciw mnie biegnie, że wiatr strzępi uszy i wydziobuje oczy.

Strzałka mija straszliwą, czerwoną krychę; motor pęka...

Rzucony w górę, jak piłka, między gwiazdy wpadam, obijam się o konstelacje, wplatom się w ogon komet ognisty, a potem znajduję się w refektarzu.

Kochane, pulchne kukły w białych, bronzowych i czarnych habitach zajądają tłusty udziec świński, wzdychając przytem: momento mori... Następnie prowadzą mnie do olbrzymiego gma-

chu i, wskazując na tandetę złocen i świecidel, rzeką: Bóg.

Bóg?

O, Gospodnie, Boże mój, ukarż łściwy język wrogów Twoich!

Patrz! Budują wielkie domy, żeby Ci przypadkiem nie było za duszno; wsadzają figurynki, madrygalki, bohomazki, żebyś się nie nudził, żebyś miał co, Boziu, oglądać! Złocą, srebrzą, koralują, żeby Cię jeno przywabić pozorem ha-remu!

Pytam: coście zrobili z Chrystusem? Gdzieście Go zagubili i kiedy?

Kochane ludziska! Dajcie Bozi powietrza! Dajcie dużo, dużo powietrza i przestrzeni! Nie dzielcie Boga między narody wybrane i religje! Ale życie kochajcie, bo życie, to Bóg! To mój i wszechświata Bóg!

B ó g !

Porwałem w strzępy ubranie, butem cisnąłem w żyrandol i ku organom skoczyłem.

Właśnie zachodzące słońce zakradło się do gotyckiej świątynicy i witrażami pokrajało na paski i paseczki sufit, ściany, podłogę, kleksem rzucając tu i owdzie: czerwień obok fioletu, ultramarynę obok oranżu, zieleń obok bronzu, i tęczą barw, niby wachlarzem, dokoła mej głowy się upstrzyło.

Ja zaś, habitom każąc kalikować, sam uderzyłem w organowe pudło.

Ryknęły stalowe rury. Wibrowate dźwięki, jęły borować słowa w marmurowych ścianach, kolumnach i sklepieniach, obrazach i złoceniach. Poniosły mnie ręce i nogi. Skacząc po trzech klawiaturach naraz, waliłem, ile sił, w drewniane pedały i kościane klawisze, czołem wiązałem akordy i palcami darłem w arpeggia.

Roztańczył się mój duch, koziolkując po zawrotnych frazach. Serce zamarło w paroksyźmie kurczu. Palce, jak obcęgi, rwały dźwięki, plując niemi na środek kościoła. Nogi kopały stalowe rury i uderzeniem łamały badyle.

Hej! Mnichy! Kalikować lepiej! Bo z gęby mi się toczy wściekła piana, bo zębem gryzę kościane klawisze, bo z organów wyrrywam klawisz po klawiszu i ciskam niemi w sam ołtarz! Bo, mnichy, mnichy...!

Gram Wam — B o g a !!!

Podminowałem sobą organy; stałem się pudłem a pudło mną; stałem się dźwiękiem a dźwięk mną; stałem się duchem a duch mną; stałem się wszystkim a wszystko mną!...

Precz organy!

Już pieśń przerosła wasze moce! Precz mnichy! Rozpękl się kościół. Chór i organy runęły.

Wszechświat stał mi się teraz kościołem!

O serce wszechistnienia trąciłem! Trąciłem o serce dzwonu!

Zakolysał się dzwon i jął w potężnym kolebie wydzwaniać pacierz:

„O Gospodnie, Boże mój, usłysz modlitwę moję i wołanie moje, nie odwracaj oblicza twego, nakłoń ku mnie ucho twoje, albowiem ty jeś przyjemca mój i moja utoka. Kako długo kłaść będę radę w duszy mojej, boleść w siercu mojem przez dzień? Zeschło się sierce moje, bo jeśm zapomniał jeść chleba mego, o Boże!“

Bije dzwon, dzwoni dzwon i serce moje dzwoni.

„Gospodnie, Boże mój, spowiedać się będę tobie, we wszem siercu mojem, prawić będę wszystkie dziwy twoje. Radować i wiesielić się będę w tobie. Otworzę w powieściach usta moja, będę mołwić gadki. Pomoży mi, Gospodnie. Bo ja potrzebujący i ubogi jeśm, o Boże!“

Bije dzwon, dzwoni dzwon i serce moje dzwoni.

„Gospodnie, Boże mój, sprawiedność przed tobą chodzić będzie i położy na drodze chody swoje. Roświeci oczy moje, bych niegda nie usnął we śmierci, by niegdy nie rzekł nieprzyjaciel mój: przemógł jeśm naprzeciw jemu. Zbawionym mnie uczyń, Gospodnie, bo nie starczył święty, bo zmałały prawdy od synów ludz-

kich. Okropisz mnie, Panie, izopem i oczyszczon będę, zmyjesz mię i nad śnieg bielszym się stanę. Kako dziwne jest imię twoje we wszej ziemi, o Boże!“

Bije dzwon, dzwoni dzwon i serce moje dzwoni.

XIII.

OJCIEC.

Znalazłem się za miastem.

Lipkowa noc.

Wokół rosną pszczelne lipy, lipkową wonią
objęte, głęboko korzeniami w ziemi osadzone,
zadumane, księżycową poświatą srebrne.

Lipy dumają — i ja.

Spiekotą dzienną zmęczone — i ja.

— O, ojcie, gdybyś ty był ze mną...

I ledwie domówilem tych słów, gdy wystrzelił
z pod kwietnej darni w pomroczy nocnej bur-
sztynowy słup, jakgdyby archanielskich skrzy-
del jasność.

— Ojcie!

A on mnie bierze za rękę i wiedzie w dal,
i idziemy przez chmury i nas samych w lipkową
noc, a grają nam świerszcze i kum-kum wtórują

kumki, zaś niebo, jak namiot, ćwiekami gwiazd
rozpięte, więzi pod strzechą nas i nietoperze.

Idziemy w dal...

Połącie pól, gęstwiny borów mijamy; wąwozy,
usypiska, skaliste wirchy. Po szczytach gór kro-
czymy nagich, spękanych, bolesnych. Idziemy
w dal... aż oto trafiamy na samotny dąb, bokiem
podany w przepaść.

— Rośnij duszo! — śpiewało drzewo, śpie-
wał dąb samotny.

Nad górskim bajorem, na szczycie śpiewał
i rósł. Co wiosna wzbierał młody dębczak so-
kami, co wiosna nowe pędy przebijały dziąsła
kory. (O jakże bolesnem jest rośnienie!).

— W co rośniesz? — spytał kiedyś wiatr.

— W Boga i w siebie.

— O głupcze! — zarechotało wówczas ba-
jorko żabami, jako że była lipkowa noc —
o głupcze! Czy po to, by tem rychlej grzmot na
się ściągnąć?

Lecz młody dąb nie podjął tchórzliwych słów
i zamilkł.

Wolał rość, gdyż czuł się twórcą.

— Rośnij, duszo! — tak śpiewało drzewo, tak
śpiewał samotny dąb.

Aż przywędrował skądziś wiatr a z nim na-
sienne ziarnka dwa. Na szczyt. Nad bajoro. Dwa

ziarenka-duszczyki legły pod dębem i patrzają weń. Patrzą w głąb dębowego serca, dziwią się przepaścistości jego i proszą:

— Dębie rośniany! podejmij nas z ziemi; i nas trawi tęsknota skrzydeł.

Ulitowało się nad przybyszami przepaściste serce dębu, podjęło maleńkie duszki dwie i rzekło:

— Miłością was dźwignę.

I odtąd na gałęziach dwóch siedziały duszki dwie, co wraz z drzewem rosnać chciały.

Nie było jednak między niemi zgody. Co która wzleci, opada. Gdy jedna skrzydeł nabywa — druga traci. Ciężkie są. Gną się pod niemi gałęzie dębu. Trzeszczą. Dąb jest teraz, jak waga handlarza, co naprzemian bądź lewym, bądź prawym ramieniem przeważa i na niebo wskazuje. Jest jako człowiek ułomny a skrzywdzony.

Mocuje się bolesne drzewo. Dobywa sił, by dźwignąć obie. Już sam ledwie rośnie. Zbyt ciężą mu duszki dwie, na dwóch gałęziach siedzące.

Zadumał się. Zamyślił nad przyszłością, co błękitem zawisła soczystym; zawisła nad nim; nad dębową jego koroną. I zapłakało samotne drzewo. Zaszlochało złotemi od jesieni liśćmi.

Pożałowało snąć wczorajszych zapasów i bolesnego rośnienia.

Wyciąga teraz przed się nagie kostuchowe badyle i niemi, niby tysiącem knykci, uderza w międzygwiazdne klawisze. Położył rozkudlaną grzywę wpoprzek mlecznej drogi i gra na planetach. Gra o drzewnianym smutku i tęsknocie drzewnianej, o rozkoszy rośnienia i rośnienia bólu.

Rośnij duszo! — krzyczy między gwiazdy i wszechświat.

Rośnij duszo! — tańczy samotny dąb i kręci się dokoła swej osi-pnia.

Przestraszyły się takiej gry i tonów dwie nasienne duszki czy tysiąc. Zeskoczyły z rozhybotanych konarów, cichutko w sercu dębnem, niczem w dziupli, przycupnęły i czekają...

O, zostańcie w sercu nasienne ziarenka dwa czy tysiąc. Chodźcie w nim, skoro do lotu brak wam sił! Stopię was wszystkie w jeden duch, w mój, i między gwiazdy Mojej Pani cisnę.

Dziś wiem, że kochać mogę wielu, lecz rosnać muszę sam!

Tak mówił dąb, czy ja? Czy ja, czy dąb załolał: Ojcie!

I czy przed dębem, czy też mną wystrzelił

znowu bursztynowy słup i złotą barwą jał mówić: o człowieku wieczora i człowieku dnia:

— Kiedy nabiegły krwią zachód pochyla na piersi strudzoną głowę, kiedy się pali czerwonym znojem: pomiędzy urwiste skały o wieczornej porze przychodzi samotny wędrowiec. Wobec płonących gładów staje bezradny, korny i czołem poczyna wybijać pokłony, jakgdyby w ofierze Bogu. Chce wykuć rzeźbę twarzy. Bije uporczywie, bije skronią dotąd, póki nie pociekną na płonący granit skał krople krwi, krwi, która czerwienią pali się, jak skały i niebo; póki włosy nie zlepią się w dziwaczny pęk, jakoby w bukiet maków; wtedy myślą, niby smugiem orłów, po krwawem niebie przeleci, i umiera. Jako bezpański, opuszczony pies zdycha u podnóża zbluzganych skał, w obliczu płonącego świata.

Przychodzą potem ludzie, przychodzą przypadkiem, przykładają ręce do krwawych plam, gapią się i śmieją, wreszcie,

— legenda — rzeką, i idą dalej.

Bo serca ludzkie twarde są,
jako spiżowy strój rycerzy;
ten je zwycięży, kto uderzy
w sam środek serca — duszą swą,
kto, znając ludzkiej duszy dzieje,
wraz z nią się cieszy i boleje.

I przyszedł drugi, lecz za dnia. Niósł młot i dłóto. Stalowe miał źrenice. Nie było w nich łez i cierpienia. Wyboiste miał mięśnie, jak chleby oble. Serce nie było rozdarte. Bólu nie znał: znał siłę. Samotnie kuł skały w skwarny dzień, bo nie chciał, by schlebiano. Zapamiętał się w pracy. Dłótem jak sercem kuł, dobywał ze skał nowych linii. Umie wydobyć z martwej bryły: rozkosz, tryumf, miłość, szal. Umie ożyć kamienie... Śpiewają one. Niosą w sobie: ruch i gest. I tajemnicze piękno, i dziwny skwar. I życie. I życie niosą.

Bywało, że potem ktoś przyjdzie, klęka, całuje rzeźbę, modli się, śpiewa, z oczu lecą łzy. Bo te kamienie żyły. Bo w nich przechodzięń odnajdywał siebie. Bo rzeźba była nim...

Bo serca ludzkie twarde są,
jako spiżowy strój rycerzy;
ten je zwycięży, kto uderzy
w sam środek serca — duszą swą,
kto, znając ludzkiej duszy dzieje,
wraz z nią się cieszy i boleje...

Zbudziłem się innym człowiekiem. Wschodziło słońce.

1. Wymowa...
2. Wymowa...
3. Wymowa...
4. Wymowa...
5. Wymowa...
6. Wymowa...
7. Wymowa...
8. Wymowa...
9. Wymowa...
10. Wymowa...
11. Wymowa...
12. Wymowa...
13. Wymowa...
14. Wymowa...
15. Wymowa...
16. Wymowa...
17. Wymowa...
18. Wymowa...
19. Wymowa...
20. Wymowa...

CZĘŚĆ II. KONSONANS

1. Wymowa...
2. Wymowa...
3. Wymowa...
4. Wymowa...
5. Wymowa...
6. Wymowa...
7. Wymowa...
8. Wymowa...
9. Wymowa...
10. Wymowa...
11. Wymowa...
12. Wymowa...
13. Wymowa...
14. Wymowa...
15. Wymowa...
16. Wymowa...
17. Wymowa...
18. Wymowa...
19. Wymowa...
20. Wymowa...

XIV.

KWIAT PAPROCI.

Czynił się ranek, kiedy wchodziłem do lasu.
Słońce, gałęzmi drzew darte, kałużami różo-
wzłotej barwy tarzało się po mchach, ku gó-
rze się pięło, gdzie rude czupryny sosen chyła
się k'sobie w radosnem „dzieńdobry“, za świe-
gotem ptaków goniło, po polach się kładło. Roz-
bawiło się ranne słońce: gzi się, baraszkuje, kwa-
drygami promieni po niebie zajeżdża, batem
okłada rumaki i dzień na wsze strony po niebie
obwozi, jakby chciało krzyczeć:

— Patrz, Dzionku - Gościu! Oto: moje wło-
ści, moje morza, lasy i mój dzięcioł, co po so-
śnie dziobem wystukuje; ważki, ziemby, gile,
zające, nawet człowiek, co po lesie chodzi, a te-
raz na polanie malej siada — wszystko moje! —
pyszniło się słońce.

A ja patrzyłem na las, na ptaki, słuchałem

słów słońca i również, jak umiałem, pozdrawiałem dzionek. I w tejże samej chwili jedna z promienistych kwadryg oberwała się i całym pędem skoczyła mi w piersi. Było to jak błyskawica, co na czarnej chmurze jasny gzygzak kreśli, było to jak kwiat paproci, co na mgnienie oka zakwita i gaśnie.

Azali przywidzenie? Nie. O, nie! Ujrzałem — kwiat paproci; ujrzałem go za dnia. Nieprawdą bowiem jest, jakoby jeno w świętojańską noc zakwitał. Kwitnie zawsze. Nie boi się słońca, ni srogiego mrozu! Jeno się, niby niedźwiedź, w najgłębszą gęstwę puszczy zaszywa i tam drzemie, drzemie a wyczekuje w norach i legowiskach, ciemnią osłonionych, chwili kwitnienia. Nielada śmiałka trzeba, co się w te uroczyska swej duszy zapuści, co po omacku zechce błądzić i serce i myśli kaleczyć, co nie ulegnie czarowi zwidów, nie zaprzepaści siebie w tej wędrówce, ale iść będzie wytrwale po to swoje szczęście, po ten swój kwiat paproci.

A kiedy minie: stepy, bory, oceany, oceany i chaosy, pustynie i pijaństwa, pustynie i misterja, i samego siebie, kiedy stanie oko w oko z tym kwiatem - dziwem; wówczas uczuje, jakby mu coś w piersi skoczyło i ogniem jasnych promieni przepaliło wnętrze. Jest ci to bowiem kwiat nad kwiaty, promienista kwadryga, co,

spadając z nieba, w czyjeś piersi skacze, błysnie w nich, i w dalszą drogę rusza.

Piękny kwiat! Ile dusz ludzkich, tyle tego kwiecica. Najlichszemu z najlichszych nie szczędzi siebie, ale słońcem przepala nerw każdy, ciałko krwi każde; a choć odejdzie niezadługo, to człowiek się nie smuci, gdyż wie, że rośnie w jego duszy i z wiosną piękniejszym zakwitnie. Kto ony kwiat mieści, mieści największy skarb świata. W czyjej piersi paproć kwitnie, ten od-tąd wie, że wie; ten czuje, czego nie czuł, widzi, czego nie dostrzegał, słyszy, czego uchem złowić niepodobna, i zdolen jest zrozumieć nie-tylko ludzką mowę, ale ptaków ćwierkanie, ale zwierząt gawędy, ale drzew poszumy, ale dusz ludzkich rozhowory, ale słońca krzykania. Zdo- len jest umiłować wszystko i o dawnym sobie zapomnieć.

„Kwiat paproci“ szczył to w lasce swej nie- wyrażalny, błogosławiony kwiat - szczęście, co pulsem krwi szepce:

— Żyjesz, by śmierć mostem ci była. Ko- chasz — by w miłość się wzbogacić.

Tak szepce „paproci kwiat“, a kto umie słu- chać tego szeptu, ten od ranka do ranka we- selnie pokrzykiwać będzie:

oj, dana, dadana!

XV.

SERCOŁAP.

Hop, hop! Czy słyszycie mnie dzieci obu półkul?

Hejże, a żwawo do mnie zuchy!

Hop, hop!

Dzieci miast i ulic, dzieci fabryk i szewckich warsztatów, dzieci kominiarzy i dzieci inteligentów, chodźcie tu do mnie! Opowiem wam bajkę...

Hop, hop!

Oto bieżą chudziny, w miejskim brudzie utyłane, bieluchne, bo krew kamieniom oddały, oddały rumowisku miejskiemu, śmierdziolki drogie w dziurawych porciętach, postrzępionych sukieneczynach, z soplami smarciąt pod nosem, pyrgają szelmuchy wrzaskliwe, jedną uciechą parskające, jedną radością zbratane: dzieci „chamskie“ i „pańskie“, skakają a pochutniają,

niby te świerszcze, gromadnie na łąkę z garści rzucone, niby te pszczołki, z ula dymem wygnane,

dzieciska jedyne,

chudziłki zbiedzone, lecące hen za miasto daleko - daleko, gdzie rzeki, lasy, łąki, rżyska; gdzie nieba błękit z szaruchną ziemią capi się na horyzoncie w miłośnym całunku, kieby ten chłop z dziewczką kiej pyskami przywrą; gdzie mendle zżętych zbóż, niby babki z piasku drożdżami zalane rosna; gdzie skowronich i świerszczych ćwirkań jest niemiara; gdzie człowiek jakiś na nich: hop, hop! — woła — tam bieżą dzieci słuhać bajki.

Zaroilo się od niesfornych czuprynek, czarnych i jasnych warkoczyków, ocząt roziskrzonych, od nóg i rąk wiecznie ruchliwych, od buziaków znaczonych wesela śmiechem.

Sadowią się jak najwygodniej i najbliżej „pana“, coto im bajkę przyobiecał mówić:

— Powiedz mi, kiedy to było? Czy lat tysiąc temu, czy też wczoraj?

A możeś zapomniał? Oj! pamiętasz, pamiętasz chłopczyka, co w taki gorący, gorący dzień za motylem gonił. Toczył się grubasek, jak kulka, żółtą siatką wymachiwał i wołał na rączego motyla: zaczekaj! złapać cię nie mogę!...

Lecz motyl uciekł, zaś chłopiec spocony, zzia-

jany pędził za drugim, czwartym, dziesiątym, zapominając o tem, że świat istnieje i że on istnieje. Wreszcie — zmęczony gonitwą — usiadł na łące i pod kopą siana usnął.

Śpi.

Wtem... słyszy czyjeś ciężkie kroki. Zbliżają się. Stały. Stoją... Jeszcze stoją... Stoją tuż przy nim! Wysuwa się powoli czyjaś ręka i dotyka jego pleców. Coto? Czuje miarowe pukanie w plecy... Ustało. Znowu... Zno-wu: puk, puk, puk... przestał oddychać — nie może... tylko serce tak wali... wali... i... tak... rośnie...

— Sercołap!!!

Zerwał się. Co za krzyk! Co za straszny krzyk?!

Ucieka... biegnie... gna ile sił... ile sił...

a tętno krwi, a zostawione pola krzyczą za nim:

— Sercołap! Sercołap!

— Sercołap!!

i tak krzyczą już teraz i kwiaty, i drzewa, i parkany, i drogi, i wszystko, wszystko, cokolwiek istnieje.

A on biegnie, biegnie, ucieka przed tym krzykiem, choć dnie, wieczory, miesiące i lata mijają.

(— biedny — szepnęły dzieci).

Młodzieńcem dopadł miasta. Wierzy, że tu

odetchnie; wierzy, że hałas ulic zagłuszy krzyk gwiazd, i drzew, i ptaków, i stworzeń, i roślin wszelakich.

Nieprawda! Nawet kamienie, chodniki, samochody, maszyny, druty — nawet one krzyczą: Sercołap! Jak szalony, przebiega więc miasto i wszecz i wzdłuż — i wzdłuż i wszecz, napotyka Swoją Panią, lecz i ona krzyczy; do „fortepianu“ siada, lecz w jeden klawisz potrafi jeno uderzać; morduje i pogrzeby sprawia, a po nich „wódka“ chce ból zagrześć, co jeno większy chaos czyni i na męki sabatu go zsyła... I tak biedny Sercołap wędruje po pustyniach, gdzie już nikogo, ale to nikogo przy nim niema.

Sam.

Zupełnie sam: jak zadzumiony! — idzie po swój „kwiat paproci“.

Znalazł go: kiedy do lasu zaszedł, by spocząć. Wówczas po raz pierwszy i po raz jedyń pojął, że człowiek samotnym nigdy nie jest, że najwierniejszym druhem czleka — słońce!

I oną myśl wyrwał z siebie i w harpun przemienił, tęsknotę niby linę u końca zawiesił, i cisnął prosto: w słońce.

Trafil.

A teraz pnie się w górę; opasuje liną i, jak pająk, nad ziemią zawisa.

Słońce w radości z nogi na nogę przestąpiło i rozbijało Sercolapa.

Huśta się Sercolap nad ziemią. Wybiega poza jej granice, ogląda ją z każdej strony, każdą stronę miłując; a nieraz, jako jastrząb, nieruchomo stanie i liczy stamtąd kroki ziemi.

Stęsknił się. Chce chodzić po niej, jak chodził przed laty.

Wraca. Znowu po ziemi znaczy dróg koleje i, śpiewa. Czy śpiewa? Nie; raczej na piszczalce grywa: czasem głośno, czasem cicho. Znalazł pod wsią gnat zwierza jakowegoś; podniósł, wystrugał i z gnata fujarę uczynił. A teraz chadza od wsi do wsi, od miasta do miasta, jako gędziec bezdomny i, gra... ..Gra tak jakoś dziwnie, że z ludzkich piersi wyskakują serca i idą za nim ulicami: za miasto — w miłość.

— Czy i nas kocha Sercolap? — spytały się wiecznie ruchliwe rączki i nóżki, oczęta roziskrzona, twarzyczki zasepione...

— Kocha wszystkich, lecz was, dzieci obu półkul, Sercolap kocha najwięcej!

(rozpogodziły się na tę wieść buziaki...)

XVI.

MORZE.

Znów dzisiaj bardziej niespokojne morze...

Gniewa się na coś i dąsa; hufcami fal nasierzone, o złoty brzeg chlusta; tarmosi a huczy przytem. Rakietami srebrnej piany strzela i rozpryskuje na wsze strony, jakoby siwym klakiem powiewał i głową potrząsał, jakoby policzki wzdymał i pięściami złocisty piach młócił — za gniewany wód bożyc.

Patrzę na gniewy starego druha, ja — pył i olbrzym wobec niego, bo na wyżynie moreny stojący i zdolny w piersiach pomieścić wód obszar. Patrzę na gniewy starego druha, zaś morze czołga się u mych nóg i huczy, i gniewa się srodze.

— Druhu, druhu! — wołam. — Czemuś się tak rozsierdził? Przecież ci dzisiaj „dzieńdobry“, jako wczora, rzucił? Czemu figle wyczyniasz i labatym krokiem po grzebieńniach fal chadzasz?

Codzień chodziłem oglądać morze...

Bywało różne: nieraz jako jezioro wielkie
i spokojne, nieraz jako wulkan lawą płynące.

Patrzyłem długo w zoraną twarz starca, zaś
ten patrzył na mnie.

Morze i ja.

Nim słońce ranną jutrznią weszło, rzucałem
morzu „dzieńdobry“, zaś morze mnie; wieczorem,
gdy czerwony krążek zanurzał się w wodzie,
całowałem na „dobranoc“ fale.

Lecz kiedyś zdradziłem druha.

Nadeszła właśnie pora toków. Ptaki i zwierzęta
popiły się miłością.

Nastał okres kochania.

Między niebem i ziemią zawisła miłość. Dzierlatka,
w wiosenne mgły strojna, w pierwiosnki i kaczęńce
majona, po borach: kuku - kuku! na życie wołała.

Zwlekło się więc z zimowego barłogu chłopię-
życie i powędrowało szukać krasawicy... Czasem,
strudzone drogą, siedzie na puszystej runi
i śpiewa:

Kochanko moja miła!

Godowych dni Wróżbiarko!

Wiośniana Połowico!

O, Pani Moja!

Gędźbo Moja!

Gęślarko!

Doleciał mych uszu śpiew życia, więc i ja poszedłem
szukać Miłości...

Lecz czy droga zmęczyła, czy też sił nie stało?
dość, że z pokrwawionemi wracał ptak mój skrzydły.

Zaszyl się w leśnej gęstwie, w pieleszy leśnej...
on i jego srom.

A kiedy śliną znieślawiał ziemię, kiedy zębami
kąsał z bólu żywiczną korę sosen, kiedy serce z
nabrzmiątych żył wyskoczyć chciało, a lzy jak
kwiaty białe na czarną ziemię padały: nadleciał
wiatr od morza.

— Morze! — i jakby zbudzony pobiegłem
w jego stronę.

Spokojne było, jako że był wieczór: letni,
granatowy. Trzepotny srebrnem gwiazd ptactwem
u stropu. Spadający. Na nim, jak jastrząb
złożony słońca promieniem, nieruchomo zawisł
księżyc. W locie pióra złote i srebrne pogubił,
że płyną teraz morzem księżycową smugą.

Myślałem kiedyś, kiedyś... że w taki cichy
późny wieczór — ja, biedny gospodarz, doczekam
się Mojej Pani na progu, na progu ubożuchnej
chatki — pobielanej — białej — zielenią
przybranej i kwiatami majonej, by przejść z
nią Próg do godowej izby życia!... Zaś tam,
tam wśród białych — pobielanych ścian — po-

dam jej przędzy złotej stos a ona z niej będzie na krosienkach prząć: życia naszego „niebieski poemat“...

Myślałem... że kiedy zaczną padać liście jesienne, smutne, kiedy w białej — pobielanej izbie sama ostatnie, to padnę u jej nóg, jako jesienny, złocisto-purpurowy liść i wyszeleszczę ostatnie — za życia niedopowiedziane — słowo...

...że rozścieli się przed nią wówczas mój cień — legendowy ja, za którym powędruje w trzynaście dni i nocy. A po tych dniach i po tych nocach ujrzy na niebie krwawą łzę — czy czerwień ust? — czy mak? — ujrzy rzucone na nieba łakę moje serce...

Oj, bo kiedy człowiek kocha, to chciałby tyle, tyle słów wyrzucić, tyloma się rzeczami podzielić, że sam nie wie od czego zacząć i milczy wtedy, i jest zawstydzony, i zły na siebie, i lęku pełen, i śmieszny. Huczą, wrzeszczą, przewalają się w nim: słowa — słówka — czucia — myśli, układając wzorzyste i barwne desenie, a ten, co je ogląda, nie umie podzielić się wrażeniami, jąka się, płacze, gubi, powtarza, bo... bo huczają, wrzeszczą, przewalają się w nim: słowa — słówka — czucia — myśli, bo pędzą niby pociągi błyskawic, zaś on — zawiadowca stacji bezradnie stoi, bo zgubił rozkład jazdy,

rozkład godzin i torów, więc tylko bezmyślnie czerwoną chorągiewką macha a macha. Dziw, że go dotąd który nie przejechał. Toż na zwrotnicach pociągi koziołkują, skaczą jedne przez drugie lub jedne na drugich i dziesiątych jadą, a on — biedny zawiadowca stacji, czerwoną chorągiewką daje sygnał ostrzegawczy, gdyż lęka się katastrofy... Chciałby krzyżeć głośno i długo, ale właśnie wtedy zaczyna bełkotać: „moja — moja“ i ustami, ręk dotykając, chciałby wealować w nie swoje serce, chciałby szeptać, nie!... krzyżeć na całe gardło: „moje łapki, moje łapiny drogie“...

— Nie pana? Tak, tak proszę, proszę pani, bo, ja, że tak powiem... ha! ha! ja, ja... wiem, ale... ha, ja bardzo, bardzo, bardzo przepraszam... blekocze biedak i czuje, że miała rację, że wszakże tylko on, on tylko kocha... i w tejże samej chwili słyszy, jakby chrzęst buforów w czaszce zderzenia pociągów, w piersiach czuje, jak wykolejona lokomotywa po żywych tkankach nerwów sunie i tętnem krwi puf-puf woła, bodąc osierdzie — ach, on to czuje wszystko jednocześnie i ogromnie wyraźnie, bo, może jest histerykiem, może tchórzem, może, może... być może wszystkim, przypuśćmy nawet i to, ale napewno szczerze, no tak — prawdziwie, o, i jeszcze jak prawdziwie czuje, nie

chcę mówić wyraźnie: cierpi, bo taki człowiek jeśli się modli...

Cóż dopiero mówić o takim, co wszystko w „słońce“ przetapiać musi i „słońcem“ pożar czynić jeszcze bardziej nieznośnym; o takim, co soczewkę w pierś wstawił, a teraz zgarnia promień do promienia sztucznie, manjacko, bezczelnie, bo niechby zaprzestał na jedno mgnienie, niechby...

Doprawdy Boże. Ty, który jesteś niby cały miłością, powinieneś zrozumieć miłość jednego serca. Dziwaczny jesteś. Jesteś! Wszędzie i tylko! — jesteś! Podobnyś olbrzymiej, bo nieskończonej fabryce, w której wyrabiasz sam siebie, nie tracąc przytem nic i nic nie zyskując.

Nie wypieraj się kochany! Wszak kochasz tylko — siebie! Nie nas i nie ich, nie tamtych i nie owych. Lecz się nie pysznisz swą miłością, ale zawstydzony niby dzieciak, bokiem okrążasz i dopiero z za węgla wszechświat i życie wszechświata podglądasz. A nam wydaje się wówczas, że niema Ciebie, że niema między nami Boga.

XVII.

E C H O.

Hej, przechodniu! Czy nie widziałeś mego słońca?

Gdzie jesteś słońce? Odezwij się przecie. Czyżbyś znowu po śmietnikach gnilo?!

Całą noc biegam i szukam napróżno.

Kto mi ukradł moje słońce? Kto mi śmiał ukraść? Kto śmiał z piersi wyrwać skarb najdroższy? Kto? Kto? —

No przyznaj się który, bo gotów jestem oszaleć ze złości, gotów jestem kasać każdego przechodnia i ból, niby wścieklicznę, wszczepiać w duszę, podejrzewając, że to on, on właśnie ukradł moje serce! Błagam was, zwróćcie mi moje słońce, które po tyłu, tyłu mękach, po tyłu nocach wreszcie znalazłem! Zwróćcie mi „moje słońce“, a rychło, a rychło, bo lękam się, że dawny chaos i ból wróci...

Ruszyć się Stary Boże! Choć raz się ozwij!
Rozewrzyj oczy i patrz, patrz! Może dostrzeżesz złoczyńcę. Musisz być wszakże doskonałym...

Ty, ty — Stary Boże! Mój Boże Jedyń! Czyżbyś dopuścił, by we mnie słońce umarło, we mnie, który tak bliskim czułem się twojej: Jasności i Kochania? I ty, zezwolisz, miłosierny Panie, żeby twoje dziecko krzywdzono bezkarnie, wydzierając mu więcej, niż serce?

Obudź się Chrystusie! Patrz! Ja już sił nie mam; ja sił nie mam, by piąć się znowu po „jakóbowej“ drabinie!...

Całą noc zbiegałem od wsi do wsi, od miasteczka do miasteczka, od miasta do miasta, szukając mojej zguby. Napróżno. Ludzie — spokojni, cisi ludzie, widząc mnie goniącego po pustych zaułkach i domostwach, za warjata brali i drzwi i okna ryglowali przede mną na cztery spusty.

Boże! Mój Boże! Powiedz, gdzie mi się zapodziało słońce?

Jest-li to moja wina? Azali byłbym złym strażnikiem? Czyżby druh - morze w głębinach zaprzepaścił, kiedym go odszedł na dni kilka dla „toków“?

Jeśli nie... Jeśli moje słońce uniósł w zanadrzu jakiś złoczyńca, to wskaż nań. Daj mi

go do rąk! Niech go przynajmniej rozszarpie, niech się jego krwią naciesze!

Miej litość Boże! Ja dziś ze zmęczenia omdlałem: oto mi włosy w jedną noc zbielały i sypią się garściami, niby liście pierwszym szronem ścięte...

A jednak? jednak?... (sam przed sobą się wstydzę!) Czy wiesz dobry Panie i czy wiecie — wy, spokojni cisi ludzie, że ja... nienawidząc, kocham was przecie, że kocham teraz może jeszcze więcej, że cierpiąc, chwilowo padam, by potem wznieść się wyżej? Ach, bo kto raz, choć raz tylko, w swej piersi więził słońce, ten mimo wszystko, bluźnić długo nie może. Choćby chciał nie może! I myśli sobie: cóż mi właściwie złego uczynili? Kto zawinił? Ja. Tylko ja! Taki już los! Taka dola sobacza! Zaraz więc oskarża siebie i skory do największych poświęceń, prosząc o przebaczenie, kornie nogi całuje i pyłem wala się po ziemi. A wtedy chciałbym serce wyrwać i jeszcze jego resztką dzielić się z wami — dobrzy ludzie, a za możliwość takowej ofiary, Chrystusowi Panu dziękować...

Ja zawiniłem! Tylko ja! Naturalnie, że ja!... albo mój los...

Mea culpa?! — Byłem widocznie złym strażnikiem — hehe! Cóż znaczy wszakże moje cier-

pienie wobec tylu cierpień, życie wobec tylu żyć?

Depczcie więc. Zdepczcie, jak pluskwę lub karalucha, jak tyle innych stworów miazdźcie codnia, a potem potańcujcie i żartą tryznę wyprawcie! Będziecie się mogli dowoli wyplakać nad „dobrocią“ i „zacnością“ mego żywota. A ty, umiłowana, trąć się kielichem z drugim, spluń jeszcze w moją stronę, a pijana będąc, krzyknij: niech żyje! Bo cóż ja ciebie obchodzi? Pijany tłum biesiadników okrzyk podchwyci i, toast za toastem wznosząc, a chwytając się przytem i jadło zrucając powtórzy: niech żyje! Niech żyje!!

„Kurdesz, kurdesz“...

Lecz krzyk mnie nie doleci, bo oto zeszedłem na dno morza i, jak nurek, szukam nie pereł, lecz słońca.

Przewalają się nade mną bałwany srogie, wodorosty czepiają się członków, potwory jakies dokola mnie krążą, ja zaś idę po moje „słońce“, które przecie znaleźć muszę!

Prawda Boże? Ja słońce znaleźć muszę!!

Kto zgubi własne słońce niechaj, jako warjat, po nocy nie biega i nie straszy spokojnych, cichych ludzi, niechaj nie bluźni i nie huka: słońce! słońce! gdzie jesteś słońce!

Ale niech nurkiem na morskie dno znijdzie i w duszy szuka skarbu.

Ale niech się w samotni harmasowej schroni i tam...

O harmas, mój harmas! Przyszedłem znów do ciebie odpocząć po dalekiej, uciążliwej drodze. Tu, gdzie tymianek i lawenda żyją, dając schronienie stworom błonoskrzydłym, gdzie złotoost kaleczy kolcami przestwór, gdzie popłoch w górę różowemi koszyczkami strzela, gdzie ostrożeń i inne burzany schron mają — tu przychodzę. A choć to miejsce ugorowiskiem jest i pustkowiec, choć rolnik spluwa nań z pogardą, zaś wszyscy depczą je niedbale: i tu wre życie równie gorączkowe i piękne, jak: w borach, stawach, rowach i kałużach.

Chciałbym mieć kiedyś maleńki skraw ziemi — choćby nim miał być opuszczony harmas — bo mógłbym, przed dom wyszedłszy, podglądać życie bożych stworzeń i, pochyłony nad piędzą, badać życia tego koleje!

XVIII.

G O D Y.

Takim mnie zastał srebrny poświata wieczór. Wieczór: jeden z tych, co brylantami gwiazd płaczą, co sypią perły ros na granatową zieleń drzew, jeden z tych, co się w gwiazdach, niby kielichach z kryształów, promieniami w rozmaitość tęcz łamią.

Czekałem przyjscia Mojej Pani.

Chwila... a z granatowej bezdni nieba spłynęła ku mnie srebrzysta cała na księżycowych mar promieniu, w zwiewności podobna raczej chmurze białych gołębi.

Przyszła jako oblubienica moja w bieli szat ślubnych z naręczem śnieżnych pomarańczy kwiatów.

Na gody przyszła. Na nasze.

Proszę na nie wszystkich, wszystkich! Chcę, by gości było wielu, by igrali, jedli, pili; chcę

ich karmić, poić krwią — moją, ja — wesela pan, ja — pan godów!

Przyszli na nie: magnaci, szlachta, damy; przyszła i co największa biedź, lichota, zbierania, ów nędzliwy gmin. Usiedli na ławach, przy zastawionych suto stołach i jedli, i pili.

Moja Pani lała im w kielichy z miodnych dzbanów rubiny słów, póki nie rozdzwoniły się serca biesiadnych, nie poplątały myśli z myślami, póki nie pospadali z ław i nie posnęli.

A wówczas... wówczas, kiedy zapomniano ręce czyje lały z miodnych dzbanów stokrocie rubinowych słów, kiedy zapomniano o „ty“ i „ja“, o „mój“ i „moja“, kiedy była jeno spólnota, jednia, jeden oddech tysięcy płuc, jedno przeogromne Ja: Moja Pani zaśpiewała w srebrną noc, w brylantowe gwiazdy, w granatowy bezmiar nieba: o miłości i ludzkiej tęsknocie...

Nadpłynął właśnie księżyc i stanął poza nią, jako korona z kaczenców uwita, jako złocisty świętych pierścień.

I nie przebrzmiała jeszcze pieśń, kiedy zbliżyły się ku sobie nasze głowy w pocałunek ustami idące.

Tęsknota...

I nasze głowy, jak kapitele strzelistych kolumn, stanęły na złocistym ekranie księżycyca.

Miłość...

I na dukatowej tarczy całowały się nasze usta.

Runęło niebo. Zwaliło się, jako żytni kłos
sierpem podcięty, legło na ziemi, rozniebieści-
ło świat wszystek, że nie wiadomo teraz: gdzie
niebo a gdzie ziemia, gdzie ziemia a gdzie niebo?

XIX.

SŁOŃCE.

Pełno słońca. Upał.

Siedzę na miękkiej trawie nad rzeką i człon-
ki smarzę w promieniach.

Opodal kąpią się cztery dziewczuchy; gęby,
niby burakiem natarte, szczerzą zęby, piersi,
niby melony, wyglądają z wody i grzechocą ku
potylicom, niby liście łopianu, szerokim.

Włosy, w kukiel spięte, kaczeńcami kwitną
na farbce wody, bo są koloru dostających zbóż.

Nad nami kilka skowronich trzepaków trri,
trri, trri — niebiosom posyła i z jaskółkami za
owadem goni.

A ja, jak władca, prężę pierś dumnie i wy-
pycham olejkiem pachnącym łubinu.

U nóg mych porzucona wstążka z warkocza
księżniczki, ukradła kolor niebu i śmieje się ci-

cho. Patrzy zaś na nią dywan pól i zaleca się do niej jaskrawym kilimem.

Roznamiętniony widokiem, chwytam jedną z dziewczyn, całuję bezopamiętania zdrowe, jędrne ciało i, jak motyl, pomykam ustami coraz w inne miejsce. Zaś dziewczka, niby nadaśana, oddaje w dwójnasób — bo i jakże czynić, kiej zerka w nas słońce?!

Hej, chodźcie tu do mnie nad rzekę gnojne chłopy, biedrzaste dzieuchy i nawet ty, Szmulu, w zawsonym chałacie, bo chcę was kąpać w słońcu i słońcem całować, jako tę jurną dziewczkę w nagości stojącą!

Po łąkach będę z wami gzić się w berka, za motylami gonić, jako ptaki - dzieci, bo we mnie jest — słońce! słońce! słońce!

Rozewrzyj się gębo, rumieńcem natarta, błyszniej białym zębem w beztroskim uśmiechu, chyć się za boki i dalejże, hasaj, hasaj roześmiana duszo!

Będziemy rwać polnych kwiatów stubarwne naręcza, a potem ciskać do się niby śnieżną kulą, i będziemy w weselu przyszłości wyrwać „jutro“ i „jutrem“ bombardować słońce!

I urządzimy wielką zabawę. Zabawę nazwiemy — Ideą!

I każdy dostanie jej trochę.

O, bo nie tylko przyszłości można wyrwać

„jutro“, ale życiu tak łeb zgiąć, by móc się na nim usadowić i z całych sił słońcu krzyczyć:

— Psiakrew! Życie! Życie piękne!!

A słońce będzie patrzeć, jak zdobywamy nasze idee, jak je gwałcimy, jak rozwieszamy jej enoty po wszystkich parkanach świata, jak chodzimy, niby turki, pośród haremu ułowionych serc, jak całujemy świat cały i świata lud cały, i krzyknie za nami:

— Psiakrew! Życie! Życie piękne!!!

Pisane w 1926 r.

K O N I E C

T R E Ś Ć.

CZĘŚĆ I. DYSONANS.

	Str.
I. Moja Pani	9
II. Fortepian	13
III. Pogrzeb	17
IV. Pijaństwo	20
V. Chaos	23
VI. Sabat	26
VII. Kościana pałeczka	31
VIII. Misterjum średniowieczne: św. Jan Chrze- ciel	36
IX. Windy	44
X. Aktor	47
XI. Żołnierz	52
XII. Bóg	55
XIII. Ojciec	60

CZĘŚĆ II. KONSONANS.

XIV. Kwiat paproci	69
XV. Sercolap	72
XVI. Morze	77
XVII. Echo	83
XVIII. Gody	88
XIX. Słońce	91



T R E Ś Ć .

C Z Ę Ś Ć I. DYSONANS.

	Str.
I. Moja Pani	9
II. Fortepian	13
III. Pogrzeb	17
IV. Pijaństwo	20
V. Chaos	23
VI. Sabat	26
VII. Kościana pałeczka	31
VIII. Misterjum średniowieczne: św. Jan Chrzciciel	36
IX. Windy	44
X. Aktor	47
XI. Żołnierz	52
XII. Bóg	55
XIII. Ojciec	60

C Z Ę Ś Ć II. KONSONANS.

XIV. Kwiat paproci	69
XV. Sercolap	72
XVI. Morze	77
XVII. Echo	83
XVIII. Gody	88
XIX. Słońce	91

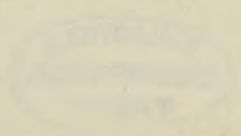


TABLE I
CONTENTS

1	I. Introduction
11	II. Materials
17	III. Methods
20	IV. Results
23	V. Discussion
25	VI. Conclusions
26	VII. Acknowledgments
27	VIII. References
28	IX. Appendix
31	X. Index
32	XI. Glossary
33	XII. Bibliography

TABLE II
CONTENTS

34	XIII. Introduction
35	XIV. Materials
36	XV. Methods
37	XVI. Results
38	XVII. Discussion
39	XVIII. Conclusions
40	XIX. Acknowledgments
41	XX. References



Biblioteka
Główna
UMK Toruń

332983